

Autor: Paul J. McAuley

Tytuł: Karl i ogr

(Carl and Ogr)

Z "NF" 3/94

Trzej myśliwi, Karl, Shem i Anaxander natrafili na ślad ogra zaledwie w dzień po tym, jak opuścili wioskę i zaczęli posuwać się w górę rzeki jej brzegiem do miejsca, w którym został zabity jednorozec, daleko w głębi pofałdowanego podgórze Berkshires. Mocno pochylone drzewa rosły kępami wśród paproci i omszałych głązów. To były wątłe drzewa, buki i klony cukrowe, każde pochylone na swój sposób w gorącym, zielonym świetle. Czerwcowe niebo było czysto błękitne. Podeszli do wody, żeby znów napełnić swoje manierki i tam, w zatoczce pomiędzy przywleczonymi tu przez wiosenne powodzie białymi głązami, Karl znalazł ślady butów ogra na wilgotnym żwirze na skraju wody.

Karl, tyczkowaty, blondwłosy dwudziestoletni chłopak, otarł pot zalewający mu oczy, gdy patrzył w dół na ślady - płaskie, z wklęsłym, wafłowatym wzorem staroczasowych butów - i nie czuł podniecenia. Po chwili zawołał pozostałych.

Anaxander nerwowo strącił czarny, niesforny kosmyk włosów z oczu i przelotnie zerknął na ślady, zanim odtańczył dalej, ciągnąc wysokim tonem radosne mamrotanie, ulu-la-ulu-la-la, potem zakręcił się dookoła i przechylił głowę, wsłuchując się w trel jakiegoś ptaka, dochodzący z lasu, który rósł nad rzeką. Tymczasem Shem oparł ręce na kolanach swoich dzinsów i zaintrygowany patrzył na znak; biedny, powolny, cierpliwy Shem. Matka opowiadała Karlowi, że on był najlepszym myśliwym ze wszystkich, dopóki nie popełnił wykroczenia, które ściągnęło gniew odmieńców. Zniszczyli wtedy jego bystrą inteligencję, pozostawiając tylko tępą, psią, nie zadającą pytań lojalność. Karl nigdy się nie dowiedział, co zrobił Shem; nikt z myśliwych nie lubił o tym mówić, nawet jego chętnie waląca bez ogródek matka, która teraz odeszła - wysłana przez ponurego odmieńca, który kierował gildią myśliwych - na tropienie ostatnich ogrów w deszczowych lasach wybrzeża północnego Pacyfiku.

- Tym razem nie jest zbyt duży - powiedział zniecierpliwiony Karl. - Mojej wagi albo nawet lżejszy.

- Może - powiedział wreszcie Shem i wyprostował się, mrużąc oczy w oślepiającym świetle słońca, które odbijało się w szybkim nurcie. Pot lśnił na plamistych podkawkach łysiny, spływając spod jego rudych włosów.

- Zostaw to tym razem w spokoju, chłopcze - powiedział. - Żadnego gadania. Zrób to tylko.

- Mówienie o starożyciu jest nieszkodliwe - powiedział

uśmiechając się Karl, pewny swej przewagi nad starszym mężczyzną.

- Może... Nie wiem, chłopcze.

- W tej rzece mieszka rusalka, prawda? - Karl rozgniół komara. - Chyba warto by ją przywołać.

- Pewnie tak - powiedział Shem, podczas gdy Anaxander wyciągnął zza pasa małą, drewnianą fujarkę i zaczął wygrywać nuty ptasiej pieśni, którą właśnie usłyszał.

Przykucnąwszy w słonecznym skwarze, Karl pracowicie wydrapał szpikulcem niezbędne znaki na ciężkim, granitowym kamyku, potem wyprostował się i wrzucił kamień w główny nurt. Szklanozielona woda natychmiast zakipiała w tym miejscu białą fontanną. Ramię takiej długości jak wzrost Karla przecięło powierzchnię, ogromna dłoń rozwarła się, ukazując rozciągnięte pomiędzy palcami błony, a każdy palec zakończony był pazurem, zakrzywionym jak cień róży. Potem wyłoniła się nieludzka twarz rusalki, włosy splecione jak wodorosty w rzece, następnie jej ramiona i piersi, tak gładkie i białe jak głazy na brzegu. Woda ściekała ze szczelin skrzelowych na jej szyi, a rusalka wiosłowała ogonem pod prąd, zwracając twarz ku myśliwym.

Ale niewiele miała im do powiedzenia. Tak, znała odpowiedź na pytanie Karla, ogr pił wodę rzeki tego ranka, tuż po świcie. I tak, wędrował samotnie. Ale kiedy zaspokoił pragnienie, odwrócił się i odszedł w górę stoku, a rusalka nie wie o nim nic więcej. Gdy Karl podziękował jej, zanurzyła się z powrotem, z włosami pływającymi przy jej twarzy pod wodą zamykającą się nad nią i wreszcie rozplynęła się w swoim żywiole. Potem było już tylko szemranie rzeki i wysokie popiskiwanie ptaków w zielonym lesie.

- Chodźmy - powiedział Karl, podnosząc swój zwinięty koc.

- Tam w górze są do wytropienia ślady w poszyciu - grunt jest tak mokry, że piętami możesz wybić źródło. O co chodzi, Ax?

Anaxander pokazywał na drugi brzeg. Karl osłonił oczy i zobaczył jelenia, który stapał zgrabnie po zwirowym cyplu, po chwili opuścił głowę i napił się.

- Widzę go - powiedział Karl - ale on jest po niewłaściwej stronie. Mogę posłać mu strzałę, ale nie przepłynę, żeby go zabrać, a żaden z nas nie potrafi chodzić po wodzie. A może ty potrafisz, co, Ax?

Shem powiedział ochryple i z naciskiem:

- Oni mówią, że niedozwolone jest zabijanie niczego prócz ogrów. Pamiętaj, chłopcze. Pamiętaj o krowie. Przygotowanej dla nas, kiedy wrócimy. Tu nie możemy.

Wspomniał łagodną krowę rasy Jersey, z długorzęsami oczami, ufnie patrzącą na wioskowego rzeźnika, gdy ten kładł rękę na jej białym pysku. I jej raptowny upadek na bok.

- Mógłbyś uznać, że tu możemy być wolni od tych ich przekłębionych praw! - powiedział gorzko Karl.

Shem wzruszył ramionami; Anaxander zagrał na fujarce urywek melodii, którą śpiewała dziewczyna. Karl zaczerwienił się i wepchnął ręce do kieszeni swojego długiego, bawełnianego płaszcza. Zwymyślanie idioty nie miało sensu, on prawdopodobnie nie chciał przez to niczego powiedzieć. Chociaż nigdy nie był pewny, nigdy naprawdę nie był pewny. Anaxander to idiota, ale też odmieniec. Nigdy do końca nie wiesz, co kłębi się za tymi czystymi, niebieskimi oczami.

- Chodźmy - powiedział po chwili Karl. - Do zachodu jest jeszcze kawał czasu. Cholerny ogr może nawet ma swoje legowisko gdzieś w pobliżu, co? Więc odłóż tę fujarkę, Ax, bo cię jeszcze usłyszy.

Shem zerknął na Karla, a chłopak, którego uszy zaczynały płońać, odwrócił się i ruszył w górę po stoku, pod ścianę lasu. Ale gdy tak szukał śladów przejścia ogra - zdartego z ziemi mchu, odgiętej gałązki, świeżo odwróconego kamyka - nie mógł odsunąć wspomnienia dziewczyny. Dziewczyny-odmieńca, schodzącej na brzeg jeziora z koszykiem opartym na wypukłości wysuniętego biodra, z motylami tańczącymi w słonecznym blasku wokół jej długich włosów. Karl wspominał ją z gniewną bezradnością zmieszaną z niechęcią. Nie. Ona nigdy nie będzie, nigdy nie będzie dla takich jak on.

Karl, Shem i Anaxander przybyli do wioski dwa dni temu około południa. Ich konie były zmęczone i niespokojne od upału. Wioskę otaczał kolczasty żywopłot dwukrotnej wysokości człowieka, o cierniach tak twardych i ostrych, jak hartowane żelazo i tak rozrośniętych wszerez, że brama, okuta i zaryglowana, stała na końcu czegoś w rodzaju tunelu. Trzej myśliwi musieli poczekać na zewnątrz, dopóki słońce nie opadło na ostatnią ćwiartkę swojej drogi, zanim wioska zaczęła się budzić i kobold, który pilnował bramy, pozwolił im wejść. Karl, spragniony i z ociężałą od spania w upale głową, poszedł wraz z innymi za powłóczącym nogami stróżem bramy, prowadząc konie po starannie przyciętej darni. Owce rozbiegły się, ustępując im z drogi.

Wioska leżała poza ogrodzonymi łąkami z sianem, blisko brzegu jeziora, w którym odbijały się otaczające ją ciemne drzewa: bezładne skupisko biało pomalowanych, kamiennych domków pokrytych strzechą z trzciny, przy każdym własny ogródek, z tyłu ciągnęły się linie grządek z warzywami i otoczonych białymi płotami wybiegów, na których pasły się konie. Trzej myśliwi zostali przeprowadzeni daleko od wioski do dużej szopy, z namalowanym na jednej ścianie jak tarcza strzelecka złym okiem, która stała za bezplanowo zbudowanym parterowym domem.

Te budynki oczywiście należały do wioskowego rzeźnika; pokręconego, podobnego do ptaka mężczyzny, który odprawił kobolda i przejął opiekę nad myśliwymi, zaprowadził ich do szopy i powiedział, żeby poczekali na radę wioski. Myśliwi

napoili i oczyścili konie, a potem, gdy Anaxander i Shem rozciągnęli się na czystym sianie i znów zasnęli, Karl usiadł w samym środku dużych, kwadratowych drzwi szopy, zdenerwowany zwłoką, pomimo że teraz zaczął już przyzwyczajać się do pogardy, jaką darzyli ich odmieńcy.

Poza szopą trawiaste zbocze zbiegało do brzegu jeziora. Niebawem z domu rzeźnika wyszła dziewczyna z drewnianym wiadrem i Karl patrzył, jak zatrzymuje się, żeby je napełnić, i nadal nie odrywał wzroku, gdy szła z powrotem, a miękka skórzana spódnica łopotała wokół jej pulchnych łydek, słońce lśniło na bawełnianym kaftanie, na długich włosach i plamach barw, które w nich połyskiwały. Potem zniknęła w domu i drzwi się zamknęły. Karl zobaczył, że dalej, brzegiem jeziora, idą w stronę szopy przedstawiciele rady wioski.

Wstał i wytrząsając sztywność ze swoich stawów obudził Shema i Anaxandra. Niebieskie oczy zaśniły psotnie, odmieniec tańczył przy obydwu mężczyznach, wygrywając na swojej fujarce zgrzytliwe dysonanse. Karl zdołał złapać go za ramię i wypchnął w blask słońca w tej samej chwili, gdy wieśniacy zatrzymali się przed szopą.

Na pierwszy rzut oka grupa pół tuzina mężczyzn i kobiet nie była godna uwagi, ale coś w ich zachowaniu, czysta, cicha pewność siebie, zawsze onieśmielała Karla. Uświadomił sobie z niechęcią, że koszula przylepia mu się do łopatek, że ma brud pod paznokciami, że odór jego potu jest pomieszany z zapachem jego konia. Rzecznik wioski, tęgi mężczyzna około pięćdziesiątki, zwrócił się najpierw do Anaxandra, a kiedy Karl wytknął mu niewłaściwość, po prostu wzruszył ramionami i powiedział do idioty z poważną uprzejmością:

- Przepraszam, bracie.

- On nie rozumie wiele z wyjątkiem muzyki - powiedział Karl.

- On rozumie - powiedziała jedna z kobiet, patrząc z irytacją na Karla i Shema.

Tak więc jak zwykle zaczęło się źle. Karl był zły, lecz równocześnie bardziej wystraszony niż miał ochotę przyznać - ponieważ każdy z odmieńców, jakkolwiek swojska byłaby jego powierzchowność, mógł wyrzucić go na nice z taką łatwością, jakby wyłuskiwał strączek grochu. Ostatecznie zadanie okazało się proste. Rzecznik wyjaśnił, iż wieśniacy od dawna podejrzewali, że co najmniej jeden ogr przeżył we wzgórzach poza jeziorem, a teraz podejrzenia zostały potwierdzone, kiedy znaleziono tam świeżo zabitego jednorożca. Karl przypuszczał, że tak naprawdę to wieśniacy tolerowali stwora przez jakiś czas; ogry często powodowały liczne drobne szkody w pobliżu wiosek odmieńców: czy to przez naturalną nienawiść, czy głupotę, czy czystą brawurę, rzadko wywołując szczerą urazę. Łatwiej było zignorować niewygodę niż

budzić niepokój, który zawsze łączył się z polowaniem, wywołując poczucie winy za śmierć wszystkich starożytnych ludzi. Ale zamordowanie świętego zwierzęcia nie mogło zostać zignorowane.

- Jednorozec, co? - powiedział więc. - No tak. Kiedy to się stało?

- Dwanaście dni temu.

Karl ocenił czas, jaki zabrało zorganizowanie grupy myśliwych i dotarcie tutaj.

- Dlaczego czekaliście dwa dni, jak nie więcej, zanim powiadomiliście naszą gildię? Teraz stwór mógł już opuścić teren.

- Wtedy akurat mieliśmy czas przekształcenia. To nie mogło być przerwane. - Spojrzenie tęgiego mężczyzny było odległe i niezgłębione, bez śladu poczucia winy. Jak zawsze sprawiło, że Karl poczuł się jakoś tak, jakby to on popełnił błąd. Przebrnął więc przez resztę rutynowych spraw, pytania co i gdzie, i ulżyło mu, gdy odmieńcy oddalili się.

Później dziewczyna, którą Karl widział przy nabieraniu wody, przyszła do szopy, kosz balansował na jej wysuniętym biodrze. Przyniosła butlę jabłeczniaka, dojrzały ser, chleb i miód. Karl podziękował jej, a potem powiedział impulsywnie:

- Twój ojciec jest rzeźnikiem, prawda? Przypuszczam, że mamy coś wspólnego.

Dziewczyna opuściła wzrok i Karl mógł przyjrzeć się jej krągłej, miłej twarzy. Długie włosy upięte były nad jednym ramieniem. Motyl usiadł na wypukłości, którą jedna z jej małych piersi tworzyła na bawełnianym kaftanie, skrzydła miał ściągnięte w górę jak złożone do modlitwy dłonie: pozostałe motyle trzepotały w ciepłym cieniu szopy.

- Ty na pewno jesteś za młody, żeby być myśliwym - powiedziała. - Słyszałam, jak mówiono, że im nie wolno jest mieć dzieci.

To była oczywiście prawda i Karl zaczerwienił się na wspomnienie szczególnych okoliczności swoich narodzin. Odmieńcy dodawali w Miastach Myśliwych czegoś do jedzenia, albo do wody, albo nawet do samego powietrza, jakąś starożytną truciznę, która zapobiegała zachodzeniu kobiet w ciążę. Z daleko od Miast Myśliwych środek przestawał działać, więc grupy, które składały się wyłącznie z mężczyzn albo z kobiet, spotykały się jednak niekiedy w guszy, przypadkowo lub rozmyślnie. Podczas jednej ze swoich większych popijaw przed wyruszeniem na wybrzeże północnego Pacyfiku matka powiedziała Karlowi, że jego ojcem mógł być któryś z trzech mężczyzn. Znenawidził ją za to. Teraz powiedział chętnie do dziewczyny:

- Jestem myśliwym już od pięciu lat i zabiłem jedenaście ogorów. - Uświadomił sobie natychmiast, że popełnił błąd i dodał pośpiesznie. - Nie musisz się mnie bać, Przybyłem tu pomóc twojej wiosce.

- Och, ja się ciebie nie boję - jej uśmiech nie był niczym więcej jak tylko wygięciem kącików ślicznych warg. Ile mogła mieć lat? Piętnaście? Szesnaście? Wszyscy koledzy Karla od butelki byli w wieku co najmniej jego matki czy Shema, tak samo jak kilka jego kochanek i jeszcze mniejsza liczba powierników. Przez chwilę pozwolił sobie pomarzyć o ucieczce z dziewczyną. Znaleźliby gdzieś w głuszy miejsce, w którym mogliby zamieszkać, tak, jak robiły to ogry. Myśliwi również niekiedy tak postępowali i za to polowano na nich równie zawzięcie jak na ogry. Ale w tej właśnie chwili Anaxander zaczął tańczyć przy nich, wygrywając na swojej fujarce urywki jakiejś melodii, którą sobie przypomniał, i dziewczyna zachnęła się.

- Nie martw się - powiedział Karl. - On jest nieszkodliwy, naprawdę.

- Ale dlaczego brat przestaje z wami?

- On jest jednym z was, zgoda, ale głupi, rozumiesz?

Ma uszkodzenie mózgu. Pojmuje tylko muzykę, może zagrać każdą melodię, jaką usłyszysz, jak jedna ze starożytnych maszyn.

Dziewczyna wyprostowała się i nagle Karl się przestraszył. Jej spojrzenie było jasne i władcze jak nagły rozbłysk światła w półmroku szopy. Motyle zawirowały wokół jej głowy niby wielobarwne płomyki ognia.

- Nie wolno ci mówić o takich rzeczach - powiedziała.

- Nie myślałem...

- Muszę teraz iść.

- Przepraszam - powiedział Karl. - Nie myślałem, że cię urażę.

- Naprawdę, muszę iść. - Czy jej spojrzenie zmiękło? - Mój ojciec i matka wcześniej jedzą kolację. Tej nocy będzie przemiana.

- Co oni tym razem zrobią światu?

- Nie twoją sprawą jest to wiedzieć.

A potem pośpiesznie odeszła przez trawę, przegowaną wydłużającymi się cieniami. I gdy tak szła, śpiewała jakąś niemelodyjną pieśń, zawodziła wysokim, czystym głosem, która poruszała coś w Karlu, mimo że w ogóle jej nie rozumiał.

I teraz, gdy myśliwi szli po śladzie ogra przez rosnący pochyły las, Anaxander grał piskliwie urywki pieśni dziewczyny, zmieszanej z urywkami i strzępami innych zapamiętanych melodii, a Karl pozwalał sobie dotknąć wspomnień o niej, próbując nie myśleć o okropnej rzeczy, która wydarzyła się później. Nie, ona nie była dla niego.

Przynajmniej ślad łatwy był do tropienia. Ogr, zamiast trzymać się kawałków skał, sterczących z żyznego czarnoziemnego poszycia, szedł wijącą się po miękkim gruncie ścieżką. To było wręcz za łatwe, ale teraz prawie wszystkie ogry były stare. Matka Karla raczyła go opowieściami o

desperackich walkach i ciężkich poszukiwaniach w dawnych czasach, a jeśli choćby połowa tych opowieści była prawdziwa, to te ogry, które pozostały, stanowiły naprawdę żalostną garstkę niedobitków. Ostatni, którego Karl pomógł sprzątnąć, był całkowicie pozbawiony umiejętności mowy. Gdy wszystko się zmieniło, musiał być bardzo mały i rósł dziko przez wszystkie lata, będąc niczym więcej jak tylko wystraszone zwierzęciem. Upłynęło wiele dni od chwili, gdy Karl dowiedział się czegoś o staroczasie, i to z mamrotania zartretyzowanej, półobłąkanej starowinki, dla której nóż Shema był błogosławieństwem.

Teraz stali wysoko nad rzeką i mogli dostrzec staroczasową drogę, podobną do węża z przetrąconym grzbietem, wijącą się pomiędzy drzewami na drugim brzegu. Karl próbował sobie wyobrazić, jak to wyglądało, gdy przelatywały po niej auta w obłokach ognia i dymu - to było przynajmniej coś, co do czego zgadzały się wszystkie ogry, ta zgroza i majestat staroczasowych dróg... Shem zatrzymał się, węsząc. Po chwili Karl też pochwycił ślad zapachu, przykry i odrażający w rozgrzanym powietrzu.

- Pająki - powiedział Shem.

Ruszyli ostrożnie i wkrótce Karl zobaczył brudne, szare pajęczyny, rozciągnięte w górze od drzewa do drzewa, migające w niewyraźnych, zmiennych poruszeniach wewnątrz swych cieni. Wzdrygnął się:

- Ciekawe, co oni sobie myśleli, sprowadzając te stwory na świat.

Shem wytarł pot ze swej łysiej głowy i powiedział powoli i poważnie:

- Wszystko ma swój cel. My nie jesteśmy po to, żeby go rozumieć.

- Szkoda, że nie wymarzyli sobie czegoś pożytecznego, czegoś, co wyłapałoby ogry.

- Mają nas - powiedział po chwili Shem.

- Tak przypuszczam. I co byśmy robili, gdybyśmy nie polowali? Nie chciałbym być w oddziałach roboczych rozwalających stare budynki. - Chociaż Karl czasami zastanawiał się, co właściwie zostało w kilometrach cegieł i betonu, które oddziały powoli zamieniały z powrotem w ziemię. Westchnął i bardziej wygodnie ułożył swój zwinięty koc. - Dobra, tu, przez te pajęczyny, w żadnym wypadku nie ma przejścia. Pająki z równym zadowoleniem zjedzą ogra jak mnie czy ciebie, Ax! Nie podchodź tam za blisko! Rozejrzyj się!

Już po chwili Shem zawołał cicho i Karl podszedł do niego, ocierając się dzinsami o paprocie. Starszy mężczyzna pokazał mu świeżo złamane małe drzewko i wafłowaty ślad za nim.

Karl rozpedził muszki, które tańczyły wokół jego głowy.

- To dziwne - powiedział. - Ten ogr dobrze sobie daje

radę w lesie, a to drzewko jest złamane tak, jakby nastąpił na nie celowo. Jakby chciał, żebyśmy za nim szli.

- Może jest głupi - zasugerował Shem. - Pomimo wszystko zabił jednoroźca.

- Tamten był niemy, nie głupi. To jest różnica. Pójdziemy powoli, jak myślisz? Uważaj na każdy krok. Słyszałeś, Ax?

Uśmiechając się szeroko odmieniec-idiota strząsnął włosy ze swojego białego czoła.

Gdy wspinali się po stoku, napotkali inne znaki; pozrywane gałęzie, czerwoną ziemię odartą z mchu. Karl, biorąc przykład z Shema, ściał mocne drzewko i używał go jako laski do badania gruntu przed sobą, ale to Anaxander był tym, który wyczuł pułapkę, tam, gdzie ujrzeli ślad ogra pomiędzy dwoma pokrytymi porostami i odsłoniętymi skałami.

Koniec laski Karla zapadł głęboko w leżącą warstwę połamanych gałęzi i chłopak kopniakiem odrzucił je w bok. Ujrzeli świeżo wykopany dół, płytki i szeroki może na rozpiętość ramion, dwukrotnie dłuższy niż szeroki. W jego dnie sterczało tuzin lub więcej zaostrzonych kołków, których zastrugane końce były wysmarowane gównem.

Shem patrzył na to przez długą chwilę.

- Ci, którzy przeżyli, stosowali tę sztuczkę, dawno temu. Myślałem, że wszyscy wyginęli. Oni chcieli walczyć, nie ukrywać się. Dzieciakom, jak widzę, pozostały arsenały po rodzicach. Nie wiedziałem...

Anaxander popatrzył na nich szeroko otwartymi, zaniepokojonymi oczami i Karl powiedział:

- Nie martw się, Ax, to już dawno minęło. Ta pułapka, widzisz, miała nas pochwycić.

Shem podrapał się w nie ogolony podbródek.

- Teraz pójdziemy naprawdę ostrożnie - powiedział Karl.

Ale nie było już więcej pułapek. Ślady ogra, przeważnie trzymające się wąskiej, jeleniej ścieżki, która wiała się między drzewami, prowadziły w górę stoku, przecinane tu i ówdzie przez strumyczki. Buty Karla ślizgały się na gładkiej powierzchni mchów i wątrobowca porastających mokrą glinę. Tu i ówdzie kwitły ciemnolistne krzaki, a każdy mały, biały, gwiazdkształtny kwiatek był w zielonym cieniu tak jasny, jak gwiazda Trzech Króli. Gdy drzewa ustąpiły miejsca krzakom i trawie, a trzech myśliwi dotarli nareszcie do wietrznego grzbietu pasma wzgórz, zobaczyli następne pasma, rozciągające się pod błękitnym niebem. Gdzieś daleko przecinało niebo, kierując się ze wschodu na zachód, coś małego. Osłoniwszy oczy, zdołał zobaczyć, że to rydwan, ciągnięty przez falangę ogromnych ptaków i poczuł ukłucie jałowej zazdrości: tam siedział jakiś władca lub władczyni odmieńców, a on był tu, mozolnie przedzierając się przez błotnisty las.

Ogr zostawił ślad wydeptany w wysokiej, suchej trawie.

Myśliwi szli za nim w dół stoku i nie trwało długo od chwili



wejścia pomiędzy drzewa, gdy dotarli do skaju polany, na której stały w promieniach słońca przekrzywione staroczasowe ruiny, a zapadnięta łupina drewnianego domu przy strumyku była ocieniona przez gęste paprocie. W podstawie ruin ziała postrzępiona czarna dziura, przed jej frontem znajdował się mały splachetek ubitej ziemi; obok niego po jednej stronie leżał stos poczerniałych kości i innych odpadków.

Teraz myśliwi zastosowali procedurę rutynową: zamiast wykurzać ogra bezpieczniejszym (choć bardziej nużącym) sposobem było czekanie, aż wyjdzie sam, z własnej inicjatywy. Shem przeczołgał się na tył ruiny i ukrył się w kępach paproci nad strumykiem, podczas gdy Karl i Anaxander czekali leżąc od frontu, obserwując postrzępione wejście do legowiska. Raz Anaxander próbował wyciągnąć fujarkę, ale Karl trzepnięciem odtrącił rękę idioty, szepcząc mu, żeby leżał cicho i nieruchomo. Odmieniec patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, potem odsunął się, żeby spojrzeć w górę, na drzewa, a jego wargi poruszały się, jakby powtarzał tę czy inną melodię. Kiedy czekali, umysł Karla, wbrew jego woli, krążył wokół wspomnienia dziewczyny z wioski i tego, co wydarzyło się tamtej nocy, nocy przekształcenia.

Wziął pajdę chleba z pozostawionego jedzenia, nalał sobie porządny łyk jabłecznika i wycofał się w głąb szopy, żeby porozmyślać nad drobnymi upokorzeniami, które zniósł tego dnia. Musiał zapaść w sen, ponieważ obudziło go zamglone światło sączące się przez otwór drzwiowy, z cieplej nocy poza nimi. Shem i Anaxander chrapali w różnych tonacjach. Po długiej jeździe bolał go każdy mięsień. Powietrze zdawało się dzwonić oczekiwaniem, słabymi wyładowaniami statycznymi i przypomniał sobie, co powiedziała dziewczyna: zmiana.

Na zewnątrz księżyc jak poobijane, nieszczęsne oko, sunął przez zielone i żółte pasma światła, przemywające całe niebo. Światelka wioski świeciły wokół wygięcia brzegu jeziora jak gwiazdy, usadowione na ziemi. Choć powietrze było ciepłe, Karl zadrżał, zastanawiając się, co tej nocy działo się ze światem, jaka nowa rzecz zostanie dodana do niego albo co zostanie zmienione przez połączoną wolę odmienców, sięgającą w głąb wirów cząstek elementarnych, gdzie rozpływała się i rozciągała na miriady sposobów.

Światła w domu rzeźnika też się paliły i w ich rozlewającym się blasku Karl zobaczył blady kształt na trawie w pobliżu skraju wody. Dziewczyna. Jego serce biło szybko i słabo, gdy schodził do niej w dół. Kiedy był już w połowie drogi, wszystkie światła wioski i wszystkie światła za jego plecami zgasły, lecz w świetle księżyca i w zimnym migotaniu zorzy widział wystarczająco dobrze.

Dziewczyna siedziała ze skrzyżowanymi nogami, z rękami wspartymi na kolanach. Wydawała się nie oddychać.

- Ja też nie mogłem spać - powiedział Karl. Nie otrzymał odpowiedzi. Kiedy przyklęknął przy niej, zobaczył białka jej oczu, ukazujące się spod półprzymkniętych powiek.

- Hej - powiedział miękko i ośmielił się dotknąć jej ramienia.

Wzdrygnęła się i w tym samym momencie Karl poczuł coś w rodzaju zimnego dreszczu, który przebiegł po całej jego skórze. Zmiana. Usta dziewczyny były otwarte i pomyślał, że to, co widzi, to jej język, wysuwający się na zewnątrz. Nie, cokolwiek to było, przypominało to raczej parę biczyków. Wtem od jej ust oderwały się pokryte pyłem skrzydła i gruba ćma spadła z trzepotaniem.

Dziewczyna wydała z siebie coś w rodzaju głuchego gulgotu. Coś jeszcze przepychało się przez jej wargi, powolnym, ociężałym poruszeniem.

Karl uciekł, przewracając się, brudząc trawą i błotem kolana swoich dżinsów, nabijając więcej brudu pod paznokcie, gdy podnosił się i uciekał dalej. W dusznym, szorstkim upale szopy długo leżał rozbudzony, znowu i znowu oglądając ćmę, wydostającą się na świat z jej ust. A teraz, rozciągnięty w paprociach, obserwując wejście do legowiska ogra, zadrżał na to wspomnienie, i mimo że powietrze było ciepłe, dziwne wrażenie zimna ścisnęło go w dołku. Jego matka miała rację, gdy mówiła, co się jej zdarzało często, że odmieńcy nie są ludźmi.

Słońce opadło nisko, opromieniając mosiężnym światłem szczyt kępy paproci, w której ukrywał się Shem. Nareszcie Karl zobaczył poruszenie w nierównej dziurze i podstawie ruiny, i ogr wystawił swą kudłatą głowę, zatrzymując się jakby węszył, zanim powoli i z wysiłkiem wypełził na otwartą przestrzeń. Karl natychmiast wstał i w chwilę później Anaxander poderwał się również, drżąc lekko. Ogr podniósł strzelbę i rozległo się słabutkie szcęknięcie.

- Cholera - powiedział wysokim, załamującym się głosem, a Shem wystrzelił ze swojego ukrycia i wbił go w błoto.

To oczywiście była kobieta. Karl domyślił się tego w chwili, gdy usłyszał o zabiciu jednoroźca. Stara, koścista kobieta, ze splątanymi włosami, odziana w coś na kształt płaszcza ze źle wyprawionej jeleniej skóry, nałożonego na postrzępione, przetarte staroczesne dżinsy i koszulę, na których było więcej cer niż tkaniny. Ale umiała mówić i gdy tylko zrozumiała, że nie zginie od razu, stała się bardzo rozmowna, powiedziała, że jednorożec biegł prosto na nią, żeby potem złożyć swój wielki, złocisty róg na jej kolanach. Wtedy poderżnęła mu gardło.

Zmarszczki na jej twarzy przegrupowały się, gdy się uśmiechnęła:

- Myślałam, że zamierza przebić mnie na wylot.

- Zrobiłby to, gdybyś nie była... dobra - Karl czuł

zimne, czyste podniecenie, właściwie ledwo mógł kontrolować swoje pragnienie wyciśnięcia wszystkiego, co ten stwór wiedział.

- A tak, dziewica! Tu nigdy nie było nikogo oprócz kilku dziewcząt, he, he. - Potem wzdrygnęła się i powiedziała: - Nienawidziłam tych rzeczy, które one robiły. Nienawidziłam ich.

Potrzebowała tylko małego ponaglenia ze strony Karla, żeby wyrzucić z siebie historię swojego życia. Nazywała się Liza Jane Howard i spędziła je w tej okolicy.

- Gdy nadeszła zmiana, tatuś ukrył mnie tutaj. Był biologiem, wiedział, że umiera, że wszyscy, którzy przekroczyli wiek pokwitania umierają, ale nie wiedział, że sprawili to superbystry. Ja też tego nie wiedziałam - przez bardzo długi czas. Zmienili bakterię w kiszkiach tak, by zabiła każdego dorosłego. Po paru latach wszystko się skończyło i wtedy przypuszczalnie zmienili bakterię z powrotem, tak, że sami mogli dorosnąć, he?

Karl skinął głową. O tym wszystkim dowiedział się już wcześniej wypytyując innych ogrów, które pomagał wysledzić.

- Zostałam tutaj - powiedziała patrząc w przestrzeń, przeszłość, która przeminęła, była dla niej bliższa niż błękitny wieczór. - Trzymałam to dla siebie, to w ten sposób przeżyłam. Och, rozmawiałam z kilkoma podobnymi do mnie, ale nigdy nie pozwalałam im się dowiedzieć, gdzie mieszkam. Miałam tu raz małą dziewczynkę, na samym początku, chore stworzonko, umarła w ciągu miesiąca na zapalenie płuc. Nigdy nie poznałam jej imienia, przypuszczam, że to było błogosławieństwem, he? Teraz od paru lat nie widziałam nikogo. Wkrótce my wszyscy pomrzemy i nie będzie już nikogo prócz superbystrych.

- Są odmieńcy - odpowiedział Karl.

- Nie wiesz, chłopcze? Widzisz, kiedyś w dawnych dniach znano sposób podniesienia inteligencji dziecka, zanim się urodziło, wszyscy bogaci ludzie tak robili. Ale oni właśnie nie wiedzieli, jak bardzo zmienili tamte cholerne dzieciaki, dopóki dzieciaki nie zaczęły zmieniać świata. Odejdźcie wszystkich dorosłych było pierwszą zmianą - zerknęła na Karla. - Nie wiedziałeś?

- Nie wiedziałem wszystkiego. - Matka nigdy nie uczyła go żadnej historii; ale gdy to się zdarzyło, jego matka była tylko niemowlakiem, zwyczajnym niemowlakiem.

Po drugiej stronie polany Shem kaszlnął i splunął, jak zawsze okazując dezaprobatę dla takiego gadania. Chciał zakończyć pracę. Anaxander muskał dłonią trawę, patrząc na ogra z mieszaniną strachu i fascynacji.

- Dziwię się, że zostałam przy życiu tak długo, mimo wszystkich tych zachodzących zmian. Budzisz się i widzisz gigantyczne pająki zwisające z drzew albo małe smoki kryjące się pod kamieniami i gwizdzące jak szybkowary. I jeszcze

wilki wróciły, nigdy nie masz pewności, czy to jest naturalne, czy to ich robota. Oni już wkrótce zmienią główne prawa tego przeklętego wszechświata, więc gdzie ty wtedy będziesz, co, chłopcze? Czy kiedykolwiek myślałeś, co się stanie, gdy wyłowicie ostatniego z nas?

Karl przypomniał sobie krowę zabitą na uczczenie ich powrotu, ufność, z jaką szła za rzeźnikiem, jej nagłe rozluźnienie i upadek po dotknięciu ręki zabójcy.

Ogrzyca zachichotała.

- Wiesz, dlaczego zmienili świat tak, jak go zmienili? Czytałeś kiedykolwiek staroczesne książki? Tatuś zostawił mi tysiące.

Karl nie umiał czytać, ale zdarzyło mu się słyszeć o książkach od jednego czy dwóch ogrów. Ciekawość mrowiała mu się wszędzie pod skórą. Nigdy przedtem nie spotkał ogra, który wiedziałby tak dużo o tym, co było przed zmianą.

- Wejź do środka, chłopcze. Pokażę ci - powiedziała. - Pokażę ci, skąd się to wszystko wzięło.

- Zgoda.

Shem stał, opierając rękę na nożu, zwisającym w pochwie na biodrze.

- Słuchaj, chłopcze, to niedobry pomysł, wariacki.

- Ona nie może zrobić mi krzywdy - powiedział gniewnie Karl. Chciał wiedzieć, chciał zobaczyć. Anaxander rozszerzonymi oczami patrzył to na niego, to na Shema. Karl zwrócił się do niego:

- To jest w porządku, prawda, Ax?

Ale idiota obojętnie popatrzył w dal.

- Nie mam już ani jednego zęba - powiedziała ogrzyca - i odebraliście mi strzelbę. Chcę tylko pokazać mu, jak to było.

Shem przycisnął ręce do uszu, potrząsnął głową.

- Chodźmy - powiedział Karl i popchnął ogrzycę w kierunku nierównej dziury.

W środku śmierdziało mieszaniną starego moczu, potu i gorącego łoju ze świec, które płonęły w niszach popękanych, ceglanych ścian. Sterta gnijących szmat tworzyła coś w rodzaju posłania, jeszcze więcej ich przykrywało podłogę, rozpadając się pod butami Karla. Musiał się schylić, żeby nie zaczepiać głową pajęczyn wiszących pod sufitem. Ogrzyca mamrocząc przekopywała się przez zwały śmieci płosząc robactwo, które rozbiegało się na boki. Nareszcie wyciągnęła coś dużego i kwadratowego. Otworzyła to coś, a on zobaczył wyraźne obrazy.

- Widzisz? - powiedziała, przewracając kartki przed twarzą Karla. - Widzisz?

Obrazy nie poruszały się, jak opowiadał Karlowi jeden ogr, a jednak przyciągnęły całą jego uwagę; były tu rysunki smoków, gryfów, jednorożca z podniesionym kopytem w jakiejś niewiarygodnie ulistnionej altance, wioski - pochwycił

książkę wpatrując się w nią w niepewnym świetle świec. Grupka białych, pokrytych strzechą domków, otoczonych wysokim, kolczastym żywopłotem, na polanie w ciemnym lesie.

- Co to jest? - powiedział. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób staroczasowa książka może zawierać obrazy tego, co jest tu i teraz.

Ogrzyca zachichotała, cienie pogłębiły zmarszczki na jej twarzy.

- To książka dla dzieci. Rozumiesz? To coś zrobione dla dzieci, żeby na to patrzyły, opowieści z wymyślonych miejsc, żeby je zabawić. Kiedy superbystrzy zmieniali świat byli tylko dziećmi, najstarsi mogli mieć jakieś osiem lat, tak mi się zdaje. Już tyle zapomniałam. Wielu było znacznie młodszych. Wszystko, co wiedzieli o świecie, pochodziło z takich właśnie książek i zgodnie z tym zmienili świat. Według książek z bajkami. Tylko to jest teraz realne, ta utopia zbudowana na kościach wszystkich, którzy żyli przedtem. Popatrz na to i pozwól mi pokazać sobie coś jeszcze.

Gdy szperała dalej, Karl przewracał namokłe, plamiaste strony, mrugając na widok fantastycznych ilustracji. Ogrzyca znów odwróciła się do niego i zobaczył, że trzyma mały pistolet. Coś w nim się rozluźniło. Spodziewał się takiej sztuczki.

- Moja cholerna strzelba mogła nie zadziałać - powiedziała cicho - ale to załatwi ciebie i twoich przyjaciół. Bez obrazy.

W ociekającym wilgocią miejscu szczęk spadającej iglicy zabrzmiał cicho. Nic się nie stało.

- To Anaxander - powiedział łagodnie Karl. - On jest idiotą, ale jest też odmieńcem. Ma moc, która uniemożliwia działanie broni przeciw niemu czy przeciw jego przyjaciołom. Nie musi nawet o tym myśleć; to jest jak mruganie.

Ogrzyca wrzasnęła z furią i rzuciła w Karla pistoletem. Przysiadł i broń stuknęła o cegły, podczas gdy ona przemknęła obok, przedzierając się przez wyjściową dziurę. Potem nastąpiła cisza. Jeden po drugim płomyki świec wyrównały się. Karl spokojnie odszukał pistolet i wsunął go za pas, wreszcie wyczołgał się na zewnątrz. Shem stał nad żalonym, drobnym ciałem ogrzycy, zlizując krew z ostrza swego noża.

Ku wielkiemu obrzydzeniu Shema Karl nalegał na pogrzebanie ciała. Starszy mężczyzna siedział na głazie, podczas gdy Karl odrzucał ziemię deską.

- Nic z tego nie będzie - powiedział posępnie. - Wilki przyjdą i wygrzebią.

Karl wściekle atakował ziemię, nie odpowiadał. Kiedy wreszcie skończył, światło wieczoru prawie zgasło. Ociekając potem wepchnął ciało ogrzycy do dziury, zepchnął na nie

ziemię i udeptał. Shem patrzył na to beznamiętnie, Anaxander leniwie wydmuchiwał urywki melodii. Karl podniósł kamyk i wydrapawszy na nim zaklęcie, wrzucił go do legowiska. W jednej chwili buchnął płomień. Jedynymi czarami, których go nauczono, były zaklęcia służące do przywoływania żywiołów, ale to wystarczało.

Anaxander prowadził (zerkając co chwila za siebie na kształty, jakie tworzył kłębiący się na niebie dym), trzech myśliwi przedzierali się przez las. Kiedy wyszli spomiędzy drzew na szczyt pasma, zobaczyli, że niebo jest ożywione wolno obracającymi się porpcami światła. Anaxander wskazał na nie, uśmiechając się radośnie. Gdy podeszli, odmieniec podniósł swoją fujarkę i zagrał powolną, dudniącą melodię, uroczyście celebrując zmianę.

- Wyrzuć to, chłopcze - powiedział do Karla przyciszonym głosem Shem.

Ręka Karla automatycznie przesunęła się do wetkniętego za pas pistoletu.

- To ci nic nie da. Jeżeli on - Shem wskazał na idiotę, który grając maszerował przed nimi - może powstrzymać działanie staroczeskiej broni, to jeśli wiem, każdy z nich może, co?

- To jest właśnie to, co chcą żebyś mówił.

- Może tak. Nie mogą wiedzieć, że powiedziałem. Nie chciałbym widzieć cię w kłopotach, chłopcze, to wszystko.

- Co się stanie? - wykrzyknął Karl. - Co się stanie, gdy już więcej nie będą nas potrzebować?

Shem wzruszył ramionami. Daleko w dole na ścieżce Anaxander rozglądał się, jego zielone oczy świeciły, potem ruszył dalej, grając swoją powolną melodię. Karl zważył w dłoni pistolet, tak realny jak każdy smok czy jednorożec, potem nagle rzucił go daleko w poszycie. Utrata nie miała znaczenia. Wiedział teraz, że część staroczesu ciągle żyła, że zawsze będzie żyła, w bajecznych zaczarowanych zwierzętach, w białych jak kości kamieniach domów małej wioski nad jeziorem, wszystkich małych wiosek zmienionego świata.

- Chodź, chłopcze - powiedział Shem i Karl przyspieszył, żeby go dogonić. Razem poszli w ciemność, za odmieńcem.

Przełożył Marian Wierzchoń

#### PAUL J. McAULEY

Rocznik 1955. Angielski biolog i pisarz. Pierwszy utwór - "Wagon, Passing" - opublikował w "Isaac Asimov's Science Fiction Magazine". Jego najlepsze opowiadania zostały zebrane w zbiorze "The King of the Hill and Other Stories", z którego wybraliśmy dla Państwa "Karla i ogra". Pierwszą powieść, "Four Hundred Billion Stars", opublikował w USA w 1988 r. W swej twórczości czerpie bogato zarówno z tradycji fantastyki amerykańskiej, jak i angielskiej. Interesuje go

inżynieria genetyczna, temat ten łączy zarówno z twardą SF,  
jak i fantasy.

D.M.